MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 46 WARSZAWA, 7 LISTOPADA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

SMUTNY POSIEW

Kto sieje wiatr, zbiera burzę —
Kto sieje złość, zbierze mord!
Kornel Ujejski.

SKUTKI swoiście pojmowanego wychowania państwowego nie dały na siebie długo czekać. Ujawniły się wcześniej, niż można było się spodziewać. Najpierw na terenie młodzieży, bo ta, jak zawsze, najłatwiej się przejmuje i najżywiej reaguje.

Przypomnijmy sobie poczynania na tym polu, czy „odcinku", jak to mówiono. Jeszcze przed przewrotem majowym istniał cały szereg organizacyj, bądź akademickich, bądź ogólnych, które opowiedziały się za zwycięscą, niektóre zresztą w zamachu współdziałały. Dołączyły się do nich nowe. Ideowo bardzo różne: od monarchistów do skrajnych radykałów i komunistów. Łączyły ich jedynie kult dla marszałka Piłsudskiego i nienawiść do kierunku narodowego, w szczególności do „endeków". Więzy wobec zasadniczych przeciwieństw, nawet sprzeczności, zbyt słabe, by mogły doprowadzić do jakiejkolwiek pozytywnej pracy zbiorowej, co wyraźnie zaznaczyło się w Poznaniu w r. 1934, kiedy wspólne powitanie ministra J. Jędrzejewicza przez akademicką młodzież prorządową okazało się niemożliwe, więc musiało się odbyć w dwu seriach: w auli uniwersyteckiej i Bazarze i nie obeszło się bez wzajemnych oskarżań.

Wobec tego min. Jędrzejewicz w myśl ideału wychowania państwowego, rzuconego przez poprzednika, które on jednak swoiście pojął i realizował, zaczął formować nowe organizacje. Wtedy powstała „Straż Przednia" w szkołach średnich, a „Legion Młodych" w akademickich. Ubocznie, zależnie od sympatyj osobistych i koniunktury, forytowano tę lub ową z dawnych organizacyj, starano się też o osłabienie i rozbicie organizacyj przeciwnych, wyłuskiwano słabsze lub zbyt gorące i niecierpliwe charaktery, hołubiono do czasu frondystów.

Rezultaty okazały się szybko i musiały zaniepokoić nie tylko prawdziwych wychowawców, ale wszystkich poważnie myślących obywateli. Wyraźna niereligijność, częste wykroczenia przeciw etyce tak w życiu osobistym jak i społecznym, które nie tylko nie były piętnowane, lecz tolerowane i tuszowane, wzmagały deprawację i wreszcie zmusiły samego inicjatora do uroczystego wyparcia się swych pupilów.

Podobnie w społeczeństwie starszych, śród wychowawców. Specjalnym poparciem cieszył się głośny dziś Związek Nauczycielstwa Polskiego, który w pewnych okresach wyrastał ponad urzędowe władze szkolne. Nie dość tego. Chcąc osłabić działalność wieloletniego, w dawne przedwojenne czasy sięgającego Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych, obejmującego ogół nauczycielstwa szkół średnich, (bo sekcja szkół średnich w Związku ledwie wegetowała), stworzono konkurencyjne Zrzeszenie Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych.

Pamiętamy, że w przeprowadzaniu swych żądań i zamiarów nie przebierano w środkach: rugi, przeniesienia, a z drugiej strony posady, awanse, dygnitarstwa choć bez kwalifikacyj, urlopy, lukratywne zarobki...

Konkurencyjne „Zrzeszenie" zakończyło bar-

dzo szybko swój niesławny żywot, zostawiając jedynie pokaźne długi, gdyż niedopisały subwencje spodziewane za optymistycznie. „Związek” działa do dziś, stał się nawet tak głośny, że musiał się nim zająć rząd i wyznaczyć mu komisarza, gdyż, jak sam P. Premier stwierdził w swym oświadczeniu, poza nieprawidłowościami gospodarczymi i finansowymi szerzył on komunizm, pacyfizm i podważał zaufanie do władz. Wykroczenia więc bardzo poważne, tym poważniejsze, że przecie tak długo organizacja cieszyła się zaufaniem i pełnym poparciem władz nawet najwyższych. Zachowanie się przewódców po zarządzeniu Ministerstwa i próby zamętu na szerszym terenie pracy zawodowej potwierdza tylko tę surową opinię.

Wszystko to jest następstwem naturalnym fałszywych założeń i wynikających z nich poczynań czynników do niedawna kierujących Ministerstwem W. R. i O. P. Pan Janusz Jędrzejewicz, jak sam w swym programowym wykładzie powiedział, uważał szkołę jedynie za „funkcję życia”, myślał więc tylko o bieżącej chwili. A że życie pojmował czysto mechanicznie, materialistycznie, więc uważał, iż poprowadzi je mechanicznym przymusem, zlekceważył zupełnie wartości ducha i idei. Co więcej rozpoczął z nimi walkę. Jego zwolennicy i pomocnicy szli może jeszcze dalej.

Propagując pod maską tolerancji obojętność i indyferentyzm religijny, tolerując, a czasem nawet propagując, jako wabik dla niewyrobionych, używanie, płaskie przyjemnostki, sybarytyzm, życie na dziś, nadwyrężono lub zniesiono wpływ tak potężnego czynnika wychowawczego jak religia, rozluźniono zasady etyki.

Drugi ideał porywający współczesną młodzież, mianowicie ideał narodowy, stał się wprost przedmiotem poniewierki, był zwalczany rozmaitymi środkami. W olbrzymiej większości wypadków walka ta nie powiodła się, owszem dała wprost przeciwne wyniki, młodzież w przygniatającej większości została mu wierna, acz często kryła się w szkołach średnich ze swymi zapatrywaniami.

W miejsce tego ideału postawiono ideał wychowania państwowego, ale wobec abominacji do wszelkich pierwiastków wyraźnie narodowych tak blady i bez treści, jak to na innym miejscu wykazałem, [1]) pełen tylu niedomówień, że nie mógł on nie tylko rozpalić młodzieży, ale nawet jej wystarczyć. Nie mógł zastąpić tych luk propagowany kult wodza nie tylko z powodu formy przesadnej, jednostronnej, tendencyjnej, ale i z powodów zasadniczych, bo osoba nie może zastąpić idei.

Ostatecznie więc zacieśniono się do samej negatywy, do przeciwstawienia się idei narodowej. Wychowankowie nie znalazłszy u swych mistrzów pozytywnych idei przewodnich, zaczęli szukać na własną rękę. Nie mając wzorów w kraju poza potępionym nacjonalizmem, sięgnięto za granicę. I znowu z powodu niechęci do nacjonalizmu nie mogli oprzeć się ideowo ani na włoskim faszyzmie, ani niemieckim narodowym socjaliźmie. Natomiast pełny i pociągający wzór znaleźli u sąsiadów wschodnich w bolszewiźmie i ulegli jego urokowi tym łatwiej, że i on walczy z nacjonalizmem, a nawet z religią, że jego emisariusze, umiejętnie kryjąc wszelkie cienie rzeczywistości, malowali go jako słoneczną wizję przyszłości, jako nowy, a pełny system przyszłości, który zaprowadzi ludzkość na nieznane przedtem wyżyny doskonałości i szczęścia. A że młodzież nie umie niczego brać połowicznie, więc oddaje się umiłowanej idei bez zastrzeżeń, choćby to miało doprowadzić do zerwania z samymi inicjatorami, patronami i protektorami.

Ale jeszcze inna rzecz. Brak pozytywnej idei nadał całej pracy wychowawczej charakter destrukcyjny, uczył nienawiści, a nie wszczepiał miłości. Tu źródło bezwzględnych porachunków partyjnych, sądów kapturowych, brutalnego terroru politycznego, krwawych napadów nawet między najbliższymi. Jedno z pism akademickich zaniepokojone tym stanem rzeczy pytało niedawno, skąd u nas kult pięści, skąd propaganda pałki, skoro „na nas nie ciąży kompleks niewoli, upośledzenia i nienawiści”. W naszych wywodach znajdzie odpowiedź, że zaś zło łatwiej zaszczepia się i pleni zwłaszcza u natur chwiejnych, mniej wytrzymałych na napór, stąd skutki tak wyraźne mimo niedługiego czasu stosowania tych metod.

Wyraził się ongiś prezes paryskiej akademii umiejętności Edmund Perrier, że każda działalność polityczno-organizacyjna spoczywa na troistej podstawie: musi wiedzieć, przewidzieć i chcieć (*savoir, prévoir, vouloir*). Czy organizatorzy w ten swoisty sposób pojętego wychowania państwowego czynili zadość tym postulatom? Jeśli tak — byli ludźmi złej woli, jeśli nie—nie dorastali do wysokości zania. W każdym razie dobrze, że tak rychło zawrócono z błędnej drogi, byle nawrót był stanowczy zupełny i nie wszedł na inne błędne tory.

LUDWIK JAXA BYKOWSKI

[1]) Niedomówienia. „Myśl Narodowa” XVII.15. str. 226-7.

POLSKI CZYN ZBROJNY
W CZASIE WOJNY ŚWIATOWEJ

Moim pragnieniem było utworzenie armii polskiej przy równoległym współdziałaniu wszystkich mocarstw sprzymierzonych i zapewnienie jej tym sposobem możliwie największej sumy niezawisłości.

Roman Dmowski. „Polityka polska i odbudowanie państwa".

1. POLACY A WOJNA ŚWIATOWA

WOJNA światowa nie przyszła niespodzianie. Na długo przed jej wybuchem wiedziano, że stan, jaki się wytworzył w Europie środkowej i wschodniej, musi ulec zmianie, że prędzej czy później musi przyjść do orężnego starcia między Słowiańszczyzną a światem germańskim.

Działając z poduszczenia Niemiec, Austro-Węgry bez powodu wypowiedziały 28 lipca 1914 r. wojnę Serbii [1]) W cztery dni później, 1 sierpnia, Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji.

Przeciw blokowi wrogów Słowiańszczyzny, Niemców, Węgrów i Turków, powstał zwarty blok narodów słowiańskich[2]). Wspólny wróg je połączył i wspólne dążenia.

Wojna, którą Niemcy rozpętali na ziemiach słowiańskich, przekształciła się niebawem w wojnę europejską, a w dalszym toku wypadków w wojnę światową. Dla nas jednakże, z naszego punktu widzenia, wojna miała charakter walki dwóch światów: słowiańskiego i germańskiego[3]).

Ze wszystkich Słowian my Polacy byliśmy najwięcej zainteresowani w powaleniu potęgi niemieckiej. Zwycięstwo państw centralnych—to pogrzebanie na długie, bardzo długie lata wszelkiej myśli o niepodległym państwie Polskim. Klęska Niemiec—to ziszczenie naszych wszystkich marzeń o wolnej i zjednoczonej Polsce.

Dlatego obowiązkiem każdego Polaka było przyczynić się w miarę swoich sił do pokonania państw centralnych.

Każdy—choćby najmniejszy—czyn, wymierzony przeciw Niemcom, był w czasie wojny cegiełką, wniesioną do budowy niepodległego państwa polskiego. Obojętne było, jaki to był czyn i gdzie był dokonany. Mógł to być zarówno czyn zbrojny, jak i czyn polityczny. Nad odbudowaniem Polski pracował zarówno żołnierz, który walczył przeciw Niemcom w okopach, jak i człowiek cywilny, który działał i agitował przeciw Niemcom na polu politycznym.

Obojętne było również, gdzie czyn został dokonany. Tak się nawet złożyło, że główna praca nad odbudowaniem Polski prowadzona była poza krajem. Roman Dmowski rozwijał swą działalność głównie we Francji i w Anglii; najwyższa reprezentacja polskiego narodu, Polski Komitet Narodowy, miał swą siedzibę w Paryżu; Ignacy Paderewski działał w Stanach Zjedn. Ameryki Północnej.

Żołnierz polski walczył o niepodległość swej ojczyzny przeważnie zdala od kraju. Dla sprawy niepodległości Polski równe znaczenie miała krew przelana na polach Pakosławia czy Krechowiec jak i pod Saint Hilaire-le Grand we Francji, a nawet w Afryce i w Azji (bo i tam nie brakło polskich ochotników).

Wszyscy polscy żołnierze, którzy walczyli przeciw Niemcom, Węgrom i Turkom, bez względu na to, jaki na sobie mieli mundur i pod jakim walczyli sztandarem, bili się za Polskę.

Poszczególne fronty w czasie światowej wojny nie stanowiły oddzielnych, zamkniętych dla siebie całości. Był właściwie jeden olbrzymi front, ciągnący się przez Europę, Afrykę i Azję. Każdy cios, wymierzony w armię turecką w Azji, odbijasię echem na froncie północnym, każde uderzenie na wschodzie odczuwali Niemcy na froncie zachodnim.

Ta właśnie ścisła łączność wszystkich działań wojennych, bez względu na ich miejsce, sprawiała, że Polak mógł stanąć do walki o niepodległość Polski wszędzie, gdziekolwiek wojna się toczyła.

Wskutek współdziałania polskiego żołnierza z żołnierzami innych narodowości przeciw wspólnemu wrogowi wytworzyło się braterstwo Polaków z narodami, biorącymi udział w przeciwniemieckiej koalicji.

Nieomylny, zdrowy instynkt narodu zawsze wskazywał na Niemców jako na odwiecznych, dziedzicznych wrogów Polski. Byt polskiego narodu zależny jest od zachodniej granicy etnograficznej z Niemcami, a ta od wieków niezmiennie przesuwa się na wschód.

W przewidywaniu bliskiego starcia ze Słowiańszczyzną Niemcy dokładali przed wojną wszelkich starań, aby polską myśl polityczną skiero-

---

[1]) Perfidię Austrii, która na długo przed wybuchem wojny gotowała się do napadu na Serbię, wykazuje na podstawie dokumentów Raymond Poincaré w książce p. t. *Les origines de la Guerre*" (polskie tłumaczenie p. t. „Geneza wojny światowej", Kraków 1921).

[2]) Jeśli Bułgaria wzięła udział w wojnie światowej po stronie wrogów Słowiańszczyzny, to stało się to wbrew woli i interesowi narodu bułgarskiego. Do tej nieszczęsnej wojny wciągnął państwo król Ferdynand (książę sasko-koburski), zacięty Niemiec, który w ten sposób chciał się przysłużyć swej niemieckiej ojczyźnie. Zbrodnię, popełnioną przez swego niegodnego króla, odpokutowała Bułgaria wielkimi stratami terytorialnymi, a nadto dużo straciła z tej sympatii, jaką się dawniej cieszyła. Król Ferdynand, jako odpowiedzialny za uwikłanie państwa w politykę sprzeczną z interesami narodu, musiał w r. 1918 zrzec się tronu i opuścić państwo.

[3]) Oceniając należycie pożytek i wartość niniejszego rzeczowego studium p. Mildnera, nie chcemy pozbawiać go prawa wypowiedzenia osobistych poglądów na wielką wojnę światową, poglądów natury historiozoficznej i wobec tego spornych. Stwierdzić wszakże musimy, że motywy słowianofilskie nie odgrywały roli w polityce polskiej, zmierzającej do odbudowania państwa. (Przyp. red.)

wać na fałszywy tor, na którym naród polski czekała niechybna zguba. W samą porę jednak zjawia się genialny polityk polski, który widząc niebezpieczeństwo, grożące jego narodowi, przekłada zwrotnicę i skierowuje polską myśl polityczną na tor właściwy. Roman Dmowski wydaje w r. 1908 książkę p. t. „Niemcy, Rosja i kwestia polska", w której w proroczym przewidywaniu bliskiej zawieruchy wojennej wskazuje narodowi Niemców jako tych wrogów, przeciw którym należy podnieść oręż.

— — — — — — — — — — — —

Kiedy w r. 1914 wybuchła wojna, naród polski zrozumiał, że oto nadeszła chwila, która ma zadecydować o jego niepodległym bycie. Oczywiście oręż polski nie mógł wiele zaważyć na szali dziejów, gdy w grę wchodziły milionowe armie, to też główną uwagę trzeba było skierować na działalność polityczno-dyplomatyczną. Od wyniku tej działalności zależało, czy niepodległe państwo polskie będzie odbudowane i jakie będzie mieć granice.

W zrozumieniu tego Roman Dmowski poświęcił się działalności dyplomatycznej. Nie zaniedbał jednak przytem sprawy wojska polskiego i dążył do tego, aby jego polityczną działalność poparł czyn orężny polskiego żołnierza.

Polski żołnierz nie mógł wywalczyć niepodległości ojczyzny, ponieważ do tego trzeba było pokonania militarnej potęgi Niemiec, a cel ten osiągnąć można było tylko przy pomocy wielomilionowej armii i floty. Koalicja złożona z kilkudziesięciu państw z trudem po czteroletnich krwawych zmaganiach zdołała uporać się z doskonale militarnie do wojny przygotowanym nieprzyjacielem.

Nie można jednak powiedzieć, że polski żołnierz nie odegrał żadnej roli w wojnie światowej. Po stronie państw sprzymierzonych walczyło przeciw państwom centralnym około milion Polaków, co było siłą wcale nie do pogardzenia. Najwięcej Polaków, bo około 800,000, walczyło w szeregach armii rosyjskiej. Poza tym wielu Polaków walczyło w armii francuskiej, amerykańskiej, angielskiej, włoskiej a także i innych.

Przy niektórych armiach powstawały osobne oddziały polskie, a w roku 1917 utworzona została we Francji niezależna armia polska.

2. LEGIONY POLSKIE [4])

Już w pierwszych dniach wojny powstała w polskim społeczeństwie w Królestwie Kongresowym myśl utworzenia wojska polskiego. W wojnie, w której chodziło o rozgromienie śmiertelnego wroga Słowiańszczyzny i w której rozgrywały się losy Polski, nie mogło braknąć polskiego żołnierza, walczącego pod własnym narodowym sztandarem.

O potrzebie utworzenia własnego wojska świadczyło samorzutne powstawanie polskich ochotniczych oddziałów partyzanckich przy armii rosyjskiej. Chodziło o skierowanie zapału polskiej młodzieży na właściwe tory. Jeżeli Polacy przelewają krew, to niech cały świat dowie się o tym. Należało zamanifestować wobec narodów, biorących udział w wojnie przeciw Niemcom, że polski naród również walczy przeciw wspólnemu wrogowi. A jakżeż lepiej można było to zamanifestować, jeśli nie przez utworzenie polskiego wojska?

*

Sprawą utworzenia polskiego wojska zajęło się grono działaczy narodowych z Romanem Dmowskim na czele.

Dnia 4 września 1914 r. Zygmunt Balicki i poseł Wiktor Jaroński wnieśli na ręce szefa głównego sztabu generała Januszkiewicza projekt utworzenia „Legii Polskiej", mającej własne sztandary i mundury, używającej polskiej komendy i pozostającej pod dowództwem polskich oficerów. Legia miała stanowić część regularnej armii rosyjskiej.

Projekt nie został przyjęty. Wkrótce jednak zrozumiano w rosyjskich sferach wojskowych polityczne znaczenie odrębnych oddziałów polskich i dnia 18 października 1914 r. generał kwatermistrz sztabu południowo-zachodniego frontu udzielił Witoldowi Gorczyńskiemu zezwolenia na utworzenie polskiej drużyny ochotniczej.

Gorczyński tworzył pierwsze oddziały w Chełmie i Brześciu Litewskim. Oddziały te otrzymały dnia 10 listopada 1914 r. nazwę Legionów. Legiony miały własny sztandar koloru amarantowego z wyobrażeniem Matki Boskiej Częstochowskiej z jednej strony i z napisem: „Legiony Polskie 1914 r." z drugiej strony. Oddziały utworzone przez Gorczyńskiego zostały w grudniu przeniesione do Puław i tu połączono je w Pierwszy Legion, zwany od miejsca utworzenia Puławskim.

Pierwszy Legion nie był jeszcze wówczas tą formacją, o której marzyło polskie społeczeństwo i której domagał się wspomniany wyżej projekt Balickiego i Jarońskiego, nie posiadał bowiem charakteru oddziału regularnego.

Sprawa tworzenia polskiego wojska weszła na właściwe tory dopiero wtedy, gdy zajął się nią Komitet Narodowy Polski w Warszawie. Była to organizacja, utworzona w listopadzie 1914 r. w celu kierowania polską polityką podczas wojny. Prezesem Komitetu Narodowego Polskiego był Zygmunt Wielopolski.

Na żądanie Komitetu Narodowego Polskiego sztab frontu południowo-zachodniego nadał 12 stycznia 1915 r. Legionowi Polskiemu charakter oddziału armii regularnej. Komitet Narodowy Polski otrzymał pozwolenie na tworzenie dalszych Legionów, z których każdy miał obejmować batalion piechoty, kompanię kulomiotów, kompanię

---

[4]) Roman Dmowski, „Polityka polska i odbudowanie państwa", wyd. II, Warszawa 1926, str. 159 i następne; Marian Seyda, „Polska na przełomie dziejów", tom I, Poznań 1927, str. 223 i nast.; Henryk Bagiński, „Wojsko polskie na wschodzie 1914—1920", Warszawa 1921; Jan Rządkowski, „Pierwszy Legion Puławski", Warszawa 1925; Władysław Pękosław-Borakowski, „Legenda", Warszawa 1924; tenże „Idzie żołnierz borem, lasem...", Warszawa 1925; Tadeusz Leliwa, „Krótki szkic do historii I-go Legionu Puławskiego", Kijów 1917; „Krótki zarys dziejów polskich formacyj na wschodzie", Warszawa 1918; „Zarys historii formacyj polskich na wschodzie", Warszawa 1921; „O polski czyn zbrojny na wschodzie 1914—1918"; Jan Litewski i Wł. Dziewanowski, „Dzieje I-go Pułku Ułanów Krechowieckich", Warszawa 1932; Wacław Lipiński, „Walka zbrojna o niepodległość Polski 1905—1918", wydanie II, Warszawa 1935.

łączności, baterię artylerii i szwadron ułanów. W Legionach miała obowiązywać polska komenda. Oficerowie Polacy otrzymali pozwolenie na przenoszenie się z armii rosyjskiej do Legionów Polskich. Przy Komitecie Narodowym Polskim utworzony został Komitet Organizacyjny Legionów Polskich pod kierownictwem generała Edmunda Świdzińskiego. Na czele Głównego Biura Werbunkowego stanął Zygmunt Balicki.

Dowódcą Pierwszego Legionu został mianowany (13 stycznia 1915 r.) podpułkownik Antoni Reutt. Komitet Narodowy Polski wydał 24 stycznia odezwę w sprawie Legionów.

Ochotnicy zaczęli bardzo licznie się zgłaszać. Pochodzili oni z różnych warstw: byli między nimi ziemianie, studenci, rzemieślnicy, chłopi i robotnicy. Wiek ochotników był rozmaity. Zgłaszali się nawet szesnastoletni chłopcy. Społeczeństwo pośpieszyło z hojnymi składkami na cele Polskich Legionów do walki z Niemcami.

Roman Dmowski, uznając konieczność utworzenia wojska polskiego po stronie rosyjskiej [5]) z zapałem poświęcił się tworzeniu Legionów Polskich, które stały się zawiązkiem przyszłej armii polskiej. Odwiedzał polskie oddziały, rozmawiał z legionistami, dodawał im otuchy i zachęcał do wytrwania w służbie dla ojczyzny.

W lutym 1915 r. przystąpiono do tworzenia II Legionu. Praca nad tworzeniem Legionów zapowiadała się świetnie. Ochotnicy napływali licznie. Były widoki na utworzenie armii, liczącej dwieście do trzystu tysięcy żołnierzy. [6])

Zupełnie niespodziewanie sprawa dalszego tworzenia wojska polskiego utknęła na martwym punkcie. Pod naciskiem rządu car Mikołaj II odebrał Legionom charakter samodzielnych oddziałów i polecił nadać im charakter drużyn pospolitego ruszenia. Rozkazem warszawskiego generał-gubernatora ks. Engałyczewa z dnia 5 lutego 1915 r. Legiony otrzymały nazwę „104 Brygady Państwowego Pospolitego Ruszenia". I Legion przemianowano na „739 drużynę nowo-aleksandryjską", II Legion na „740 drużynę lubelską".

Dowódcą brygady mianowany został generał Piotr Szymanowski.

Wydanie przepisów, zmieniających nazwę i charakter Legionów, tłumaczono chęcią uchronienia legionistów od śmierci na szubienicy w razie, jeśliby wpadli w ręce Niemców, którzy luźnych formacji nie uznawali za oddziały wojskowe, lecz za buntowników. [7])

W rzeczywistości zarządzenia te pozostały na papierze. I Legion nie zastosował się do nich i zachował swoje odznaki oraz polską komendę. Rosyjskie władze wojskowe patrzyły przez palce na tę „niesubordynację", a nawet same często nie stosowały się do nowych przepisów, nazywając naszych żołnierzy „polskimi legionistami".

Wobec odebrania Legionom dotychczasowej nazwy i samodzielności Komitet Narodowy Polski wstrzymał dalsze tworzenie wojska polskiego. Komitet Organizacyjny Legionów Polskich, występujący obecnie pod nazwą Komitetu Organizacyjnego Polskich Drużyn Ochotniczych, rozwiązał się dnia 27 marca 1915 r. Generał Świdziński podał się do dymisji. Biura werbunkowe zostały zlikwidowane okólnikiem, wydanym przez Balickiego dnia 5 maja 1915 r. [8]).

*

Tymczasem Legion Puławski już od 20 marca 1915 r. walczył na froncie pod dowództwem podpułkownika Reutta. W chwili wyruszenia na front Legion liczył 17 oficerów i 909 żołnierzy.

Doborowy był to żołnierz... Nie tylko nie sprzeniewierzył się świetnej tradycji dawnego rycerstwa polskiego, ale nową chwałą okrył polski oręż, wzbudzając entuzjazm u swoich i podziw u obcych.

Dzieje bohaterskich bojów tych pierwszych— po kilkudziesięcioletniej przerwie —polskich żołnierzy godne są pióra poetów i pędzla malarzy.

Któż może dać lepsze świadectwo o wartości żołnierzy, jak nie ich dowódca. A oto co pisze generał Rządkowski: „Całe życie prawie spędziłem w wojsku. Służyłem, jak to zaznaczyłem na początku, w jednym z lepszych pułków rosyjskich; podczas wojny polsko bolszewickiej dowodziłem dywizją litewsko-białoruską, która składała się z bardzo dzielnych żołnierzy i niejednokrotnie odznaczyła się froncie; lecz takich żołnierzy, jakich miałem w Legionie, nie widziałem, nie spotykałem ani przedtem, ani potem" [9]).

Po przybyciu na front Legion walczył na pozycjach pod Fałkowem.

Krwawy chrzest bojowy otrzymał Legion w sławnej bitwie pod Pakosławiem dnia 20 maja 1915 r.

Legion otrzymał rozkaz atakowania północnowschodniego skraju lasu na południe od Pakosławia. Pozycje niemieckie odrutowane były ze wszystkich stron, a oddzielała je od pozycji polskich torfiasta łąka, trudna do przebycia i zupełnie odkryta. Pod gradem kul nieprzyjacielskich legioniści ruszyli do ataku na bagnety i wtargnęli do niemieckich okopów

W kilkakrotnie ponawianych atakach legioniści zadali nieprzyjacielowi duże straty. po czym wycofali się na swoje pozycje. Straty Legionu wynosiły 42 zabitych, 60 rannych i 11 przepadłych bez wieści.

Ranny był pułkownik Reutt i musiał ustąpić z dowództwa. Na jego miejsce dowódcą Legionu mianowany został pułkownik Jan Rządkowski.

Legioniści nie szczędzili swej krwi. Dzielnie

---

[5]) Dmowski, „Polityka polska i odbudowanie państwa", str. 159.

[6]) Dmowski, „Polityka polska i odbudowanie państwa", str. 160.

[7]) Rządkowski, „Pierwszy Legion Puławski", s. 24.

[8]) Działacze Obozu Narodowego w dalszym ciągu pozostawali w stałej styczności z Legionem i opiekowali się legionistami. Lekarzem wojskowym w Legionie był dr Jan Załuska, który dzielił z legionistami dolę i niedolę, a którego zapał udzielał się żołnierzom. Ojcowską opieką otaczał legionistów ks. Kazimierz Lutosławski, który często odwiedzał ich w okopach, witany zawsze z wielką radością. Pamiętał o legionistach poseł Wiktor Jaroński i założył w Piotrogrodzie komitet, mający na celu materialną opiekę nad legionistami.

[9]) Rządkowski, „Pierwszy Legion Puławski", str. 36. Również rosyjski generał Adler powiedział o polskich legionistach: „Takiego składu koni ni takiego doboru ludzi za cały czas swej służby nie spotkałem". (Wład. Pękosław-Borakowski, „Legenda", str. 56).

potykali się z nieprzyjacielem pod Michałowem (15 czerwca 1915 r.), pod Władysławowem (17 lipca 1915 r.) i pod kolonią Chechelską (20 lipca 1915 r). Przerzedzone szeregi I Legionu uzupełnione zostały (20 lipca) żołnierzami II Legionu w liczbie 300. Dnia 29 lipca rozpoczęły służbę na froncie koło Brześcia oba szwadrony polskich Legionów.

Dnia 5 sierpnia 1915 r. bolesna wieść wstrząsnęła polskim społeczeństwem.

Prusacy zajęli Warszawę!...

Legioniści zacisnęli pięści... Przypomniały im się wszystkie krzywdy...

Zaczęły dochodzić do okopów straszne wieści o masowych egzekucjach, dokonywanych przez Austriaków na spokojnej ludności polskiej i ruskiej w Galicji, o okrucieństwach, jakich na rodakach dopuszczali się Prusacy i węgierscy honwedzi. Polski żołnierz łaknął pomsty. Wkrótce nadarzyła się sposobność. W czasie zaciętych walk pod Nurcem (20 sierpnia 1915 r.) i pod Zelwą (10 września 1915 r.) Legion zadał Niemcom duże straty.

W związku z projektem utworzenia Brygady Strzelców Polskich przeniesiono Legion 18 września 1915 r. do rejonu Bobrujska.

W chwili wycofania z frontu Legion liczył tylko... 7 oficerów i 105 żołnierzy.

(d. c. n.) TADEUSZ MILDNER

CZY PIELĘGNOWAĆ GWARĘ?

DO TEGO doszliśmy pytania w ciągu poprzednich wywodów, [1]) przyczem przez „gwarę" rozumiemy teraz nietylko poszczególne gwary miejscowe, ale język ludowy wogóle. Czuje się, że pytanie to powinno się rozstrzygnąć pozytywnie ale, jak właśnieśmy już zauważyli poprzednio, postulat podtrzymywania języka ludowego, odróżniającego warstwę pracującą fizycznie a bez wyższego szkolnego i regularnego wykształenia, nie jest wcale oczywistym — owszem są raczej powody, dość rozsądne, dla których podtrzymywanie, tak tej odrębności warstwowej, jak poszczególnych gwar, byłoby niepożądanem. „Ludzie prości" nie chcą nosić na sobie piętna swej (żebym tu użył nowotworu niezbyt przyjemnego dla ucha) prostaczości, piętna banauzyjskiego; i żadnej to wątpliwości nie ulega, że przyjemnie jest rozmawiać z człowiekiem pochodzącym ze środowiska pracy fizycznej, który, szkół nie przeszedłszy, umie wyrażać się nietylko inteligentnie (co jest naturalnie możliwem i w gwarze), lecz i poprawnym językiem literackim, lub poprostu inteligenckim; czujemy się wtedy na stopie miłej równości, czujemy że, choć jeden z nas jest inteligentem, drugi chłopem albo robotnikiem, to jednak ta wielość tworzy razem jakąś ładną jedność, bo mamy, mimo znacznych odrębności, wspólny jakiś świat wyobrażeń ..... Tem żywiej musi to odczuwać inteligentny człowiek z ludu, i jeszcze żywiej — człowiek ambitny. Wspólne sposoby wyrażania się są bardzo potrzebne dla społecznego spokoju, dla cyrkulacji kultury, dla zjednoczenia narodu na planie pionowym, przy czem *notabene* nie chcę na tym punkcie przesadzać.

Podobnież ważną jest dla zjednolicenia narodu na planie horyzontalnym, jednolitość oficjalnego i wspólnego, więc z istoty rzeczy inteligenckiego, języka narodowego. Weźmy ten postulat podtrzymania gwary konkretniej a konsekwentnie: oznacza on żądanie, które zresztą było u nas i gdzieindziej faktycznie wysuwane, szkoły gwarowej tj. nauki czytania i pisania w gwarze, czego konsekwencją byłoby żądać, aby w każdej okolicy nauczało tylko nauczycielstwo umiejące naturalnie i poprawnie wyrażać się djalektem „tutejszym", ale to byłoby bardzo szkodliwe, państwo nie miałoby do rozporządzenia rezerw nauczycielskich, któremiby swobodnie dysponowało na całym swoim obszerze: na Podhalu mógłby uczyć tylko nauczyciel Podhalanin i to wyłącznie z góralskiej pochodzący chaty, na Śląsku tylko Ślązak itd. Ileż przytem młodzieży miejskiej, zdolnej do pracy w szkolnictwie, byłoby odsuniętej. I, o ileżby powolniej przy takiej personalnej i językowej decentralizacji szkolnictwa, szło zrastanie się dzielnic kresowych z narodem. Jakąż jest radością słyszeć na Śląsku albo na Wileńszczyźnie dziecko, po którem odrazu znać, że przez szkołę polską przeszło, i wreszcie, co tu chyba nie jest bez znaczenia, sam lud, same dzieci i ich rodzice cieszą się, że one umieją wyrażać się tak, jak ludzie wykształceni, a właściwie nie taksamo lecz przynajmniej podobnie.

Jeśli zaś ktoś zauważy, że to, co się tu powiada, zwraca się rykoszetem przeciw szkole polskiej dla naszych mniejszości poza granicami Rzplitej — to przyznam, że niestety, częściowo tak, jest tragizm sytuacji, na który tylko fakty, a nie myśli mogłyby zaradzić ...... W każdym razie nie domagamy się, aby nasi rodacy pod Niemcem i pod Czechem nie umieli po niemiecku czy po czesku; pragniemy tylko, aby także umieli po polsku, po polsku właśnie, a nie wyłącznie po śląsku czy po mazursku... Według sprawiedliwości, to powinno być tak, aby dziecko uczyło się w takim języku, jaki jest dlań zrozumiałym; oprócz tego może uczyć się innego języka; gwary polskie nie są tak odległe od języka kulturalnie centralnego, aby nauka w tym języku mogła dziecku wiejskiemu na Podhalu, czy w którejkolwiek innej części Polski sprawiać szczególną językową trudność — (a tyczy się to nawet dzieci białoruskich). Inna rzecz, że byłoby pożądanem, by nauczyciele mieli wiadomości z dialektologji, znali teksty gwarowe i byli przygotowani do łatwego porozumiewania się z ludnością, dziećmi i rodzicami. *In summa* wyrażam przekonanie, że szkoła nie jest powołaną do podtrzymywania gwar i, ogólniej biorąc: gwary. [2])

[1]) W nr. 45 „Myśli narodowej".

[2]) Zagadnienie regionalizmu w szkole nie sprowadza się do samej kwestii gwary — o czem dobrze informuje księga zbiorowa „Ruch regionalistyczny w Europie". Warsz. 1934 w II tomach, pod red. A. Patkowskiego.

Ale kwestja gwary wcale nie wyczerpana. Wszak widzimy podnoszącą się poezję gwarową, widzimy także — (zjawisko ściśle z gwarowością związane) rozwijające się ruchy regjonalne, o reperkusjach politycznych nieraz bardzo zadziwiających, [3]) co wszystko zresztą wcale nie jest nowe, bo ciągnie się już od wieku, w istotnym związku z rozwojem świadomości narodowej, ale dziś jakby w nowej fali nasilenia. Czyżby to była tylko przemijająca moda? Gdyby nawet tak było, to i tę modę warto pojąć.

Walka o mowę jest w zasadzie motywowana czworako: Raz język jest to symbol odrębności grupowej, symbol najdogodniejszy i najwyrazistszy, ale zależy tam właściwie na odrębności natury niejęzykowej: politycznej (w ramach nie koniecznie niepodległości zupełnej, może o autonomię iść) kulturalnej, klasowej, [4]) religijnej itp. — i takiem jest wobec języka rodzimego stanowisko polityków; innym razem (i tak odczuwa znowuż społecznik-moralista) na utrzymaniu rodzinnej mowy zależy głównie dlatego, aby się nie rozprzęgała ani jedność warstw w społeczeństwie, ani jedność rodziny ludowej — (gdy dzieci jej nabywają wyższego wykształcenia i przechodzą do środowiska inteligenckiego); — i wreszcie — (a to jest odczuwanie głównie estetyczne lecz i moralne, ponadto poetom właściwe) — na języku rodzimym zależy nietyle dla jego symboliczno-politycznego znaczenia, nietyle dla jego znaczenia jako węzła moralno-społecznego — ile dla niego samego, a to znaczy, że się czuje i piękno tej mowy i miłuje się ją, czyli pragnie się serdecznie, aby to piękno przetrwało.

Otóż te wszystkie motywacje, te same, które są *par excellence* narodotwórcze, działają i dziś przy rozwoju ruchów gwarowych: Rozwijają się z takich czy innych powodów, które nas na tem miejscu nie zajmą, równocześnie z centralizacją państwową, ruchy autonomji dzielnicowej i ziemicowej (regionalnej) — i stąd chęci utrzymania gwar w ich funkcji symboliczno-wyodrębniającej; demokratyzm, zwłaszcza demokratyzm o charakterze konserwatywnym, pietystycznym wobec rodziny, jest innym, ważnym tu czynnikiem; i wreszcie, skoro już gwara ludowa uzyskała była respekt socjalny, może się podnieść ktoś, kto ją poprostu i bezpolitycznie miłuje — i to będzie poeta — co jednak wcale nie ma oznaczać, jakoby tamte motywacje miały mu być koniecznie obce: owszem, jako człowiek czuły (?) ..... zapewne będzie i na tamto czuły, i może czulszy niż kto inny; tylko, że najbardziej na tem będzie mu zależeć, aby nie ginęła ta tak bliska mu i tak miła mowa-tworzywo. Śpiewak bez słuchaczy schnie, tak samo zresztą każdy pisarz bez czytelników; skoro jest już poezja gwarowa, to muszą być czytelnicy, którzy gwarę zrozumieją, nie gardząc nią, czytelnicy, którzy ją zachowali: trzeba podtrzymać gwarę, bo już została namaszczona wysiłkiem ku pięknu, podwyższona przez działalność twórczą. Tu jesteśmy, sądzę, przy jednej z istotnych sił narodotwórczych: Naprzód są twórcy-producenci, a potem są konsumenci.

Regionalizm walczy o prawo dla twórczości ziemicowej, jest ruchem narodo-podobnym, lecz równocześnie rozwija się naród na innej płaszczyźnie: tam powstaje jakby mały narodek prowincjonalny — (i nieraz dialekt prowincji rozwija się w język osobnego narodu); tu zrasta się właściwy naród, pionowo — przez zanik odrębności warstwowych, poziomo — przez centralizację państwową, pionowo i poziomo — nawet przez wspólną centralną mowę, masom szerokim udzielaną, przez masy szerokie pożądaną — i jużeśmy się zgodzili, że to korzystne jest i potrzebne; powstaje więc sprzeczność, zresztą więcej teoretyczna, niż praktyczna, wcale nie domagająca się podziału uczuć, bo mogę lubić swoje miasto i swoją okolicę rodzinną wewnątrz takiegoż uczucia dla całej ojczyzny, a zaś ojczyznę tem bardziej mam ochotę lubić, im bardziej jest urozmaiconą i bogatą w rodzaje piękna. Ale jest jeden punkt, gdzie rzeczone przeciwieństwo teoretyczne realizuje się praktycznie. Tam właśnie, gdzie prosty człowiek powiada. „A cóż mi po wsiowej wymowie? Ja chcę mówić tak, jak mówią i piszą ludzie oświeceni!" I jużeśmy się zgodzili byli, uważać tę chęć za legalną i zdrową. To dążenie przejawia się w całem naszem piśmiennictwie ludowem: Pisarz ludowy, jeżeli pisze językiem ludowym, to głównie dlatego, że nie umie pisać po literacku, ale wtedy zazwyczaj i gwarą swoją rodzimą nie włada poprawnie. Wojciechowski, ze swym „żargotem" raczej niż gwarą, jest tu klasycznym przykładem, — ale takich niewielu; normalną dażnością pisarza ludowego jest oderwać się od gwary i owładnąć językiem literackim — a zwycięstwa na tem polu i nas, czytelników, przejmują zadowoleniem; wprawdzie w ostatnich czasach jawią się pisarze ludowi, którzy chcą pisać gwarą — ale przeważnie są to ludzie, którzy znają i polszczyznę inteligencką, do gwary jako języka literackiego wracają, a wracają ośmieleni do tego przez przykład pisarzy inteligentow, którzy gwarę uświetnili swą twórczością, wracają czując się upoważnieni do tego przez inteligencką kulturę, która zaczęła szanować i cenić życie prostych ludzi. Gwarowość w piśmiennictwie ludowem jest zjawiskiem świeżem i wtórnem; jako zjawisko naturalne, czyli jako przymus pisania tak a nie inaczej, jest nieznaczącą.

Więc jak?... Zanim znajdę optymalne jakieś wyjście z tego sporu między walorami *lingua vulgaris* wieśniaków, a walorami mowy inteligentów,

---

[3]) Np. ruch autonomiczny Basków, mimo swego tak wybitnie katolickiego zabarwienia, wolał stanąć po stronie Hiszpanji rządowej, antykatolickiej, niż przyłączyć się do powstania, z tej strony obawiając się zamachu na autonomię kraju Basków, (coprawda nie nową, ale już starodawną).

[4]) „W zaraniu Śląskim", listopad 1936, znajduję ciekawy art. W. Ligoty o Ondrze Łysokorskym (pseud.) „pierwszym poecie laskim", który w r, 1934 wydał w Pradze tom poezji pt. *„Śpiwajuco piaść"*, w gwarze laskiej, obejmującej okręg frydecki na Śląsku Ciesz., część Śląska Opawskiego, część Moraw, razem około 2 miliony ludności, a językowo będącej przejściem od polskiego do czeskiego (czy naodwrót). Łysokorsky, inteligent pochodzenia ludowego, nie poczuwa się do wspólnoty duchowej ani z Polską ani z Czechami, nacjonalistów czeskich i centralistów praskich wprost nienawidzi, jest separatystą i patriotą swego małego kraiku, a separatyzm ten jest u niego wybitnie podsycany uczuciami klasowemi i sympatiami czerwonemi — jak już o tem dobitnie świadczy tytuł jego poezyj: „Śpiewająca pięść"....

przytoczę jeszcze argumenty... za gwarą. Wskażę mianowicie na ruch „kultury ludowej", na ten renesans folkloru, objawiający się w rozmaitych pokazach regionalnych, w „dożynkach", w „tygodniach gór" i t. p., które doskonałym znawcom tych rzeczy okazują niekiedy rewelacyjną wprost i jeszcze niewyczerpaną żywotność tańca, śpiewu, obrzędowego gestu. Mowa jest także swego rodzaju gestem człowieka, gestem jednostki, środowiska kultury; gwara jest gestem bardzo wyrazistym i integralnym ludowej kultury; jeśli kultura ludowa jest godną podtrzymywania, to z nią i gwara, gwara czyli wyraz językowy tej specjalnie ludowej, wsiowej, wieśniaczej, gazdowsko-rolniczej postawy duchowej, która się przejawia, nietylko w fonetyce, względnie w fonetykach miejscowych, ale przedewszystkiem w stylu i słowotwórstwie, stylu konkretnym i plastycznym, słowotwórstwie obfitem, żywotnem i soczystem, jak roślinność soczysta, rubasznem i twardem często, ale często tkliwem i dobrodusznem. Nasz inteligencki język, o ile nie jest językiem artystów i stylistów, o ile nie jest językiem specjalnie w kierunku stylo—i słowo-twórczym nastawionych środowisk (jak np. malarze), jest w porównaniu z językiem ludowym blady i anemiczny— przyczem przez język ludowy nie rozumiem teraz koniecznie tylko języka chłopów, lecz także i język warstw wiejskich, towarzyszko wyższych, o ile ich życie jeszcze bliskiem pozostało ludowego; np. starsi ludzie, zwłaszcza panie, ze Wschodniej Polski, gdzie życie ziemiańskie i nawet inteligencji miejskiej było jeszcze dość bliskie typu życia ludowego, pierwotniejszego, żywiołowszego, jak często soczyściej, dowcipniej, konkretniej, dobroduszniej, jowialniej, wyrażają się niż ludzie oddawna oderwani od wsi. Posiadanie tego, nietyle może „ludowego", jako takiego, ale wiejskiego gestu językowego, jest poniekąd równoległe z pewnym charakterystycznym, nie zbanalizowanym, niewybladłym, krwistszym, żartobliwszym, weselszym i gościnniejszym typem życia. To samo przechowuje się i wyraża w pieśni swojskiej, w swojskim tańcu, a dalej, i w sztuce ludowej, stroju, całym sposobie trzymania się warstw i środowisk przez urbanizację jeszcze nie poszarzałych. To jest wartość objektywna, nietylko czyjś gust.

Ruch „kultury ludowej" ma sens ochroniarski: Jak się broni gór przed kolejkarzami, pewnych krajobrazów przad budowniczymi-pudełkarzami, wspaniałych starych drzew przed wyrębem, stylowych starych gmachów przed ruiną, powietrza przed dymem i przed hałasami maszyn śpiewających i dudniących, tak się broni swojskiego rodzaju zabawy i sztuki przed zapomnieniem. A to wszystko znaczy, że broni się wsi przed miastem, czyli inaczej: rozmaitości przed jednostajnością, czyli inaczej: życia przed maszynizacją czyli jeszcze inaczej: osoby przed niwelacyjną centralizacją. Ruch kultury ludowej może iść płytko, więcej na pokaz, albo może iść głębiej i rzeczywiściej — to już inne sprawy, w które tu nie wchodzę, — ale taki jest istotny jego cel i wartość: Idzie o to, żeby (ujmując to bezpretensjonalnie) zachować dla wsi zabawę, zabawę rytmiczną i barwną, żeby wieś miała w niej ozdobę swego życia prawowitego przy szarej ziemi, ozdobę wyprowadzoną ze swej własnej i właściwej sobie psychiki i natury.

Ale nie będziemy i nie możemy upierać się przy staroświecczyźnie za wszelką cenę, nie możemy i nie chciejmy traktować wsi jako rezerwatu folklorystycznego: Psychiczna dezizolacja wsi musi iść dalej, i na to, nietylko że nie ma rady, ale nawet w wielu wypadkach dezizolacja ta jest pożądaną; więc jakże się przedstawi sprawa z tą kulturą ludową? Trzeba się zrezygnować na to, że ona musi być czemś poniekąd sztucznem. Ale gdyśmy już użyli tego słowa, to ukazuje się nam odrazu nowa perspektywa: od sztuczności do sztuki — perspektywa artyzmu. Rozwój artystyczny folklorystycznej zabawy ludowej ukazuje się nam jako warunek przetrwania tej zabawy. Mówmy poprostu: Te widowiska znudzą, staną się monotonne, gdy nie będzie w nich postępu w kierunku stylizacji artystycznej, gdyby brakło artystycznej rywalizacji. To co w życiu się zachwiewa, to przez życie sztuczne w sztuce może żyć dalej, i w pewien sposób — wyżej. Weźmyż tylko strój ludowy, jak badacze mody ludowej stwierdzają, moda ta we wieku ubiegłym aż do naszych czasów, idzie w kierunku większego urozmaicenia motywów. wzbogacenia ornamentyki, żywszej kolorowości; to zrozumiałe: strój ludowy we wieku niwelacji demokratycznej załamuje się, chłopi odrzucają ten swój chłopski mundur, ale jeśli się strój ludowy gdzie utrzyma, to dzięki temu, że wypiękniał (przynajmniej w subjektywnym uczuciu tych, co go noszą): taka nadkompensacja była tu warunkiem przetrwania. Co się nie rozwija, to zanika, a co zanika, ażeby mogło obronić się, musi zacząć rozwijać się — jeśli już nie w życiu praktycznem, to przeniesione w sferę życia estetycznego.

To wszystko odnosi się także do gwary ludowej, jako integralnej części kultury ludowej. Czy utrzymywać gwarę? Utrzymywać jako tworzywo poetyckie. W mowie codziennej i literaturze prozaicznej (publicystyce, politycznej, gospodarczej, moralistycznej) będzie się gwara cofać— już zresztą cofnęła się ławą— i na to rady niema, i wszelkie pod tym względem przymusy (konwencjonalne) wobec pisarza ludowego byłyby nieodpowiednie; wszelka sztuczność w tym kierunku byłaby nieprzyjemnem „paradebauerstwem"; zresztą, jak długo utrzyma się mało rolny typ wieśniaka, pracującego z pomocą rodziny, więcej rękoma niż maszyną, i typ kobiety czuwającej w swoim domu własnym nad swymi domownikami jak długo utrzyma się chata wiejska z polami za płotem, ze świętymi obrazkami na ścianie, a nie mamy powodu wątpić, że to wszystko utrzyma się — to i tak długo utrzyma się ta wieśniacza postawa ducha, która wyrazi się w mowie codziennej stylo — i słowotwórczo, choćby nawet lokalne gwary ludowe asymilowały się fonetycznie i słownikowo do mowy centralnej, miejsko-intelegenckiej. Ale pełniejsze życie gwary może być ocalone tylko wewnątrz poezji regjonalnej, jako jakiś luksus konserwatywny, jako jakiś gest hieratyczny; jako pewna świadoma poetycka odrębność od codziennej prozy. Ale z tem nowe zagadnienie, które już będzie dla naszych tu rozważań istotnem.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

ANTOLOGIA POLONII AMERYKAŃSKIEJ

„WIELKĄ EMIGRACJĄ" nazwano tłumny *exodus* Polaków do Francji po klęsce 1831 r. Epitet „Wielka" zawdzięczała owa emigracja tylko w pewnej mierze swej liczebności, w większym zaś stopniu swemu ciężarowi gatunkowemu: wywędrował przecież wtedy z kraju kwiat narodu, odpłynęły najlepsze siły umysłowe, intelektualne i duchowe; była owa emigracja paleniskiem, na którym zapłonął najwspanialszy płomień naszej poezji, literatura polska tam znalazła ową wielką podnietę i osiągnęła swoje szczyty.

Od owej „wielkiej" emigracji o wiele, wiele silniejsza liczebnie była i jest ta emigracja, która od drugiej połowy XIX w. począwszy popłynęła za Ocean Antlantycki, na ziemię amerykańską. Dosięgła więc łącznej liczby kilku milionów, a w niektórych miastach utworzyła skupienia, przewyższające ilościową sumą ludność niejednego z wojewódzkich miast polskich (w samym Chicago jest podobno Polaków więcej niż w Łodzi). Ale pod względem jakościowym była to emigracja różna od tych, jakie widziano przed stu laty. Poszli na nią przede wszystkim ludzie prości, rolnicy, rzemieślnicy, robotnicy, którzy nie odebrali w kraju wyższego wykształcenia i nie wspięli się tutaj w sfery „inteligencji" czy intelektualistów.

Masa ta w swoim elemencie rasowym i etnicznym okazała się bardzo zdrową i silną; przetrwała czasy długie i bodaj że znacznie mniej poddaje się wynarodowieniu w drugiej i trzeciej generacji, niśli potomkowie emigrantów powstańczych we Francji. Podziwiać należy tę siłę, trwałość i odporność, ten upór, z jakim ludność ta — pomimo wszelkich nawyknień amerykańskich — trzyma się wiernie swej tradycji i mowy, albo stara się przyswoić sobie jedno i drugie różnymi drogami. Przywiązanie to wielu wynosi ze szkół polskich, jakie są w Ameryce, ale nie brak też i takich, bardziej jeszcze podziwu godnych jednostek, które własną pracą i wysiłkiem, własnym wspaniałym samouctwem dochodzą do znajomości języka i kultury polskiej.

A wzruszającym prawdziwie dokumentem jest książka polska wydana niedawno w Chicago przez Polski Klub Artystyczny, a nosząca tytuł „Antologia poezji polsko-amerykańskiej". Złożyły się na nią utwory poetyckie bezmała sześćdziesięciu poetów zamieszkałych lub urodzonych na ziemi amerykańskiej, tworzących zaś w języku polskim lub też angielskim (albo i obu zarazem).

Wzruszyć nas ta książka może z kilku powodów. Przede wszystkim polszczyzna, jaką posługują się ci poeci polsko-amerykańscy, jest czysta, wolna od obcojęzycznych naleciałości, niekiedy zaś wzbogacona jędrnymi wyrażeniami gwarowymi, przyniesionymi gdzieś z nad Wisły czy Warty. Powtóre zaś widzimy w tej poezji czystość i szlachetność twórczych pobudek, jeżeli niezawsze natchnień. Poziom literacki bywa różny, ale wierszy nieudolnych nie spotka się w tej książce ani razu. Czuwał zresztą nad tym redaktor książki, znany esteta i krytyk literacki, dr. Mitana, żeby nie dopuścić do antologii nic takiego, co by nie osiągnęło wyraźnego literackiego poziomu.

Jest dużo wierszy prostych, które przypomną Pola czy Syrokomlę, lub najczęściej Lenartowicza czy Konopnicką, są i takie, w których widać pewną znajomość Kasprowicza, Staffa, czy Wierzyńskiego. I jedno i drugie świadczy dobrze o ambicjach i rozsądku poetów polsko-amerykańskich.

A tematy? Ułatwił nam wydawca odpowiedź na to pytanie, skoro podzielił całą zawartość książki na pewne grupy: motywy społeczne, liryka nastrojowa, wiersze religijno-filozoficzne, wiersze okolicznościowe, liryka miłosna, motywy natury, poezja patriotyczna. Widzimy, że szeroka jest rozpiętość uczuciowa i tematyczna w tym zbiorze.

Niektóre postacie poetów rysują się jasno w świetle utworów. Pełen buntu i oburzenia syn miasta Chicago, Walery Fronczak, uderzający często w nutę społeczną i polityczną, jakże różny jest od panny Wiktorii Jandówny, malującej drobne odcienie swych cichych nastrojów, obudzonych piękną przyrodą „kraju jezior", Wisconsinu! Albo tęskniący za „starym krajem" Jan Sas jakiż kontrast stanowi z tymi, którzy, nie wyrzekłszy się bynajmniej ani Polski, ani polskości, opierają się spokojnie na glebie, gdzie im obecnie pracować wypadło. Proteuszową trochę naturę ma M. A. Niedzielski, jeden z tych, którzy najsilniejszy z pewnością utrzymują kontakt z literaturą w „starym kraju"; w bardzo wyrobionej formie wierszowej i stylistycznej podejmuje wątki najrozmaitsze, (zatrącając czasami nawet Zegadłowiczem z „Kolędziołków"), a talent ma wcale obiecujący. To samo powiedzieć można o kilku innych, niewątpliwie młodych, jak Kosicka, Szymański, Popławska i tak dalej. Ale i stara gwardia — w tym kilku księży— maszeruje żwawo i dzielnie!

Wiązanka tych wierszy powinna być znana w Polsce szeroko. I powinna się spotkać z miłością i uznaniem.

(J. B—r)

MAZUREK JESIENNY

Już przeżyłem tyle lat,
Tyle dni i tyle godzin,
Bliżej śmierci niż urodzin,
Płynie moje czółno w świat.

Gdy się rodzi nowy bąk,
Myślę: dobrze, że to nie ja!
Za to cieszy mnie nadzieja
Snu na trawie rajskich łąk.

Dość już tego, basta, pas!
Dość tutejszej samogonki,
Pora już wyciągnąć członki
I latarkę zgasić czas.

ARTUR CHOJECKI

NA WIDOWNI

Najprzyjemniej jest pisać o niczem. — Złote piękno jesieni. — Chwila dzisiejsza najważniejsza. — Radość trzeba przywoływać.

PRZYZNAM się, że jedną z najprzyjemniejszych dla publicysty rzeczy, jest — od czasu do czasu móc sobie napisać poprostu o niczem. Tematów życie daje takie mnóstwo, mózg bezustannie pracuje i myśl ciągle sobie przypomina, że to i to jest ważne, że to a to trzeba koniecznie poruszyć, że czasem czuje się wprost niewypowiedzianą ochotę, dać spokój wszelkim uczonościom, puścić sobie wolny bieg marzeniom i precz odrzucić napuszone tony apostolskie i społecznicze. Rozkosz prawdziwa — zatopić się beztrosko w jakimś swobodnym ludzkim dumaniu o jaknajprostrzych i najzwyklejszych sprawach. No i przyznać trzeba, że jednak te jaknajprostrze sprawy, są równocześnie i najważniejsze, bo najważniejszy zawsze jest człowiek — jego myśli, nastroje i uczucia. Wszelkie społeczeństwo przez niego idzie i na nim się opiera.

Ale nie mam zamiaru dzisiaj tego dowodzić i wyłuszczać, bo nie pragnę teraz wogóle niczego dowodzić. Jest nastrój jesieni, są rudawe i przyżółkłe drzewa, są jeszcze resztki zieleni, dojmująco czyste powietrze i to słońce jasne, przepajające sobą wszystko, ale chłodne, które tak jak rady starców „oświeca ale nie grzeje". Jest słowem przepiękna złota jesień, pełna kędzierzawych chryzantemów i astrów i przykro - rozkosznego uczucia, że oto coś się kończy i coś ucieka.

I nigdy może nie czuje się tak wyraźnie wartkiego biegu ludzkich rzeczy, jak właśnie jesienią. Czas tak nieubłaganie płynie i nie powraca... Wiosną, kiedy wszystko drga życiem, gdy radosne pieśni miłosne co raz to bardziej potężnieją — szybko idący czas bynajmniej dla nas nie ucieka. Idzie on nawet wręcz za wolno, nie pod rytm niecierpliwych i podnieconych kroków. Wtedy, gdy wszystko nas do coraz piękniejszego jeszcze zbliża — dłuży on się raczej i nigdy nie martwi, gdy po rozśmianym majowym dniu schodzi noc bzów i słowików, kiedy tak słodko marzyć, że jutro jeszcze piękniejsze będzie. Ale jesienią czas leci tak szybko i niewstrzymanie. Wszystko nam o jego ucieczce przypomina — i te dnie coraz chłodniejsze i coraz wcześniejsze błękitne zmierzchy i te liście opadłe, co tak miło szeleszczą pod stopami.

Czas więc ucieka. Szybko leci swoją stukoną karocą, a z nim bezpowrotnie ucieka — wiosna. Kończy się śmiech radosny i beztroskie, różowe na wszystko patrzenie. Po kątach czai się już jakaś zaduma, a w duszę wkrada smęt. Ale to wszystko nic, bo to jedynie tylko jakby podkreślenie tej wielkiej radości — że oto są jeszcze te złote chwile, które należy za wszelką cenę łapać — zanim naprawdę uciekną.

To też w wichrze jesiennym tańczy wszystko upojnie i radośnie niemal tak jak na wiosnę. Wszystko jest złote i jasne. Maleńkie, znikome — dzisiaj — wydłuża się kłamliwie, a rozkosznie. Blednąca w jego radosnym blasku przeszłość nie męczy już i nie nuży — a o jutrze myśleć się nie chce. Nie chce się za nic pamiętać, że kiedyś jednak to złe i uparte jutro napewno kres naszej, upojnej teraźniejszości położy. Wszystko szepcze kusząco faustowskie, zawodne — „stań chwilo!".

I tak jest przyjemnie o niczem, niczem nie myśląc, pójść sobie gdzieś w dal pustą aleją, w szumie drzew i szeleście liści, — poddawać się całkowicie nastrojom chwili — i czuć tylko ten wiatr potężny, jasne słońce, chłodne niebo i drogie, kochane serce przy sobie. Mieć to najlepsze dla człowieka poczucie, że oto jest dobrze, że jakoś to będzie i że wszystko napewno jednak się ułoży. Serce bije przyśpieszoną tęsknotą za czemś czego może nie będzie, ale co teraz się czuje, i tak słodko czepia się chwili. Jesienne słońce tak uspakaja i tak przekonywająco powiada swoje — nic się nie martwi.

Ale jesień jest kapryśna i ma jeszcze swoje drugie oblicze. Nie zawsze się śmieje płomienną żagwią swoich słonecznych dni. Bywa smutna i rozpłakana. I wtedy melancholia jej nie ma granic; rozpaczliwa żałoba unosi się wszędzie. Symbolem jej wtedy — przegniłe liście, rozkisłe błoto, chmurne czarne niebo i wciskająca się każdą szparą bezczelnie dokuczliwa wilgoć i mgła.

Ale nastroje jesieni są od niej silniejsze. I gdy deszcz bije w szyby jesienne, gdy gołe już drzewa szarpie wiatr, gdy wszystko ginie i zaciera się w brudno szarej mgle — miło z za okna patrzeć na to i dumnie myśleć, że ten koniec niczego nie skończył i, że radość może być o wiele silniejsza od podszeptu złej chwili. Ja chcę — więc jest dobrze i wesoło, choć wszystko śpiewa pieśń rozpaczy. Ja kocham i żyję naprzekór wszystkim i wszystkiemu.

A więc pieśń życia. Pieśń życia pomimo przymusu umierania. I to może najgłębszy sens jesieni, to może istotne źródło, źródło tej troski upojnej jaką sercu narzuca. Bo jednak coś się kończy — ale w to wierzyć się nie chce i pojmuje, że to fałsz, że musi przyjść nowe. Tak jak w naturze cyklicznie życie się odnawia, tak też i człowiek zwycięża śmierć i nie chce przenigdy pogodzić się z jej okrutnym prawem.

Więc w dzień zaduszny wskrzeszamy sobie zmarłych i ożywiamy ich własną pamięcią. Jakby przez jakąś dziwną litość dla siebie — marnych ogniw w pochodzie pokoleń — wyciągamy do nich ręce i dajemy im jałmużnę z wieńców i kwiatów. Ale sami od nastroju tego dnia uciekamy i wolimy tem radośniej myśleć sobie — że żyję i wierzyć, chociażby dla zabawy, że śmierć trafia, ale nie nas i, że o tem wogóle myśleć nie warto.

Lekkomyślnie i powierzchownie, ale tak miło. Czyż nie wystarczy samo czucie końca, samo uznanie tego nastroju właśnie w radosnym zakłamaniu, czyż przez melancholię właśnie radość nie większa — tak jak tem buńczuczniejsze akordy czardasza im rzewliwiej skrzypce płakały?

Tak mało w życiu radości, — tak często niszczymy ją sami... Niech więc trwa złote słońce jesieni, chociażby krótko i złudnie. Łapmy te chwile piękne jak wątłe nitki babiego lata po rżyskach. Szkoda trwonić dni radosne i dary uśmiechów. Smutek się narzuca, ale radość trzeba przywoływać.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

Z DZIEJÓW ARMII POLSKIEJ

W wiekopomną rocznicę odzyskania niepodległości godzi się uprzytomnić dzisiejszemu pokoleniu, jak formowały się oddziały wojskowe w czasie wojny w najtrudniejszych warunkach zaboru rosyjskiego. Pracowitego studium w tym przedmiocie podjął się p. Tadeusz Mildner. Pierwszą część tej pracy zamieszczamy w zeszycie niniejszym. Sporo, jak widzimy z jego bibliografii, było przyczynków do dziejów tych usiłowań, brakowało jednak ogólnego zestawienia faktów i tej potrzebie odpowiada dobrze praca p. Mildnera.

Przypomnienie to zbiega się z żałobną okolicznością. Zmarł w ubiegłym tygodniu zasłużony twórca pierwszego korpusu generał J. Dowbor-Muśnicki. Sądy współczesne o tej historycznej postaci były sprzeczne, ale bo też wśród zamętu i sprzeczności rodziła się nowa doba życia Polski. Generał Muśnicki dzielnym był żołnierzem i znakomitym organizatorem, jak tego dowiódł w ostatnim etapie swojej kariery na gruncie wielkopolskim. Nie był jednak politykiem dostatecznie wyszkolonym w polskiej idei dziejowotwórczej. Ofiarą stał się sprzecznych prądów, które zakłóciły duszę polską; dopuściliśmy do siebie wpływy „obcych agentur". Na tym właśnie polegała choroba społeczeństwa, pozbawionego przez długi czas własnego narodowego państwa.

Trzeba sobie uprzytomnić, w jak trudnych warunkach się znalazł pozbawiony wszelkich kryteriów politycznych generał, świeżo powołany do rozstrzygania zagadnień polskich, gdy go naciśnięto w imię lojalności wobec Rady Regencyjnej, którą rozumiał jako miarodajny rząd polski. Zrobił to jednak w dobrej wierze, której nadużyli defetyści, domagający się za wszelką cenę separatywnego pokoju między Rosją i Niemcami.

Składamy do grobu ten porachunek ze Zmarłym, zachowując w pamięci wdzięczność za obronę Lwowa i za wszystko co zrobił dla podniesienia wartości armii polskiej.

NAUKA i LITERATURA

OSTATNIA KSIĄŻKA MAETERLINCKA

W BIEŻĄCYM roku mija 75 lat od urodzenia Maeterlincka. Jako dwudziestą z rzędu począwszy od *„Trésor des Humbles"* wydał niedawno książkę filozoficzną p. t. *„L'ombre des ailes"* (Paris, Bibl. Charpentier, str. 253, 1939), ostatnią po *„Sablier"*. W swoim agnostycyzmie poszedł autor znacznie dalej niż w dziele poprzednim, a wpłynęły na to zapewne i ostatnie wypadki zwłaszcza wojna w Hiszpanii. Wręcz przyznaje się, że inną miał wiarę w ludzkość 25 lat temu niż dzisiaj. Rosję uważa za rozsadnik zarazy moralnej rozszerzającej się po całym świecie. Wynalazki najnowsze i odkrycia w niczym nie przysparzają ludzkości szczęścia.

Od samego początku twórczości dręczy Maeterlincka zagadka istnienia Boga. Według niego, to, co nazywamy Bogiem, to niemożność nieistnienia. Zaprzeczać istnieniu Boga, to zaprzeczać, że się istnieje. A nasze istnienie to całość małych aktów nieznacznych, których w 24 lub 48 godzin po ich dokonaniu nie możemy wprost sobie przypomnieć. To nazywamy życiem i tego żałujemy w chwili śmierci.

Autor używa stale formy pytania, dzięki czemu myśl jego wydaje się ciągle zmienną, ruchliwą, pełną kapryśnych meandrów. Podobna w tym do etiud muzycznych: jeden temat na rozmaite wygrywany wariacje. Bardzo często temat taki podsuwa mu pismo Św. Starego lub Nowego Testamentu, ale dany fakt lub ustęp jest dlań tylko punktem wyjścia dla rozważań całkiem współczesnych. Rozważaniami tymi obejmuje wszelkie najrozmaitsze rozłogi życia, od człowieka zupełnie prostego do najsubtelniejszych i najgłębszych geniuszów rodzaju ludzkiego. „Ludzkości całe obszary przenika z końca do końca". Ze wszystkich dyscyplin umie wyciągnąć konsekwencje ostateczne z jednym aspektem mianowicie na rozwiązanie zagadki bytu, wszechświata, Boga.

Chociaż ciągle ma na ustach wyraz śmierć, snać już czuje dotyk jej skrzydeł, jednak książka jest apoteozą życia, a chociaż pomawiano go o materializm (Lutosławski), książka tchnie głębokim i żarliwym kultem Boga Nieznanego Przepaść między nim a teologami: ci ostafni wiedzą, gdyż wierzą, ta wiara to Łaska, dar Boży, on łaski tej pozbawiony, posługuje się tylko narzędziem danym przez Boga—rozumem. Stąd jego podobieństwo do pisarzy XVIII wieku. W pismach Eddingtona i Jeansa widziało się w ostatecznych konsekwencjach przyjęcie świata nadprzyrodzonego, a więc i Boga i duszy i faktu stworzenia z niczego... U Maeterlincka inaczej: przypuszcza on istnienie świata nieskończone, wszystko, cały Wszechświat, istniał zawsze, nic nie mogło być z niczego stworzone...

Chociaż ostateczne konsekwencje rozważań są pesymistyczne, książka tchnie miłością i przywiązaniem do życia. Życiem jest i śmierć. Istnieje—jak mówi Konopnicka—jedno, nieskończone Dziś świata. W tem dzisiaj mamy żyć, rozwijać do granic najwyższych nasze siły duchowe i fizyczne, kochać ludzi i świat cały, tworzyć, badać, do ostatniego momentu życia, chociażbyśmy czuli, że za naszym krzesłem stoi—śmierć. Śmierć to jedna z przemian, druhna blada, to wiecznego postępu chorąży, według słów naszego poety. Więcej niż ciału duszy naszej trzeba skrzydeł.

— Powiedz mi, o co się do Boga modlisz—mówi Maeterlinck—a powiem ci, kim jesteś. Jedyną możliwą, godną Tego, który się ukrywa, jest myśl, która Go szuka, aby Go poznać. Trzeba Go uwielbiać umieszczając Go na szczytach waszej myśli. Szukając go w nadziei, w nieznanym, przybliżysz się wtedy do prawdziwej modlitwy, jedynej, godnej człowieka dobrej woli. Jeśliś Mnie szukał, jużeś Mnie znalazł... Gdybym Go znalazł, byłbym już nie na ziemi, ale — w Nim.

Nieraz cierpka gprycz sączy się z kart tej książki, ale taka gorycz ożywia i podnosi...

JAN ŚWIERZOWICZ

ZE STARYCH KĄTÓW

Ostatni utwór świetnej powieściopisarki [1]) wprowadza czytelnika w atmosferę starych legend i czarów, jakich w tej mrocznej krainie dokonywa młodość wsparta duchową energią, czerpaną z czystego serca kochającej dziewczyny.

Ogromnym przywilejem talentu Miłaszewskiej jest szczególny dar kreowania sylwetek kobiecych o przedziwnej, prerafaelickiej linii i wdzięku wewnętrznym. Odbiera się niekiedy wrażenie, jakby niektóre z jej bohaterek żyły poza wiadomością wszelkiego zła, nie podlegając nawet zwyczajnym prawom przemian psychologicznych. W takich razach do roli tak wyanielonego niewieściego typu należy rea-

[1]) Wanda Miłaszewska. Święty wiąz. Legenda Starych Kątów. Powieść, Księg. św. Wojciecha 1937.

lizacja w życiu wysokich prawd moralnych, o co przecież trudno się kusić zwyczajnie złożonym śmiertelnikom.

Stare i Wielkie Kąty, prawdziwa oaza dawności nawet na odciętym od świata Polesiu, żyją odwiecznym trybem, a tylko ludzie wciąż się w nich zmieniają, pokoleniami układając się na okolicznych cmentarzach.

Świadkiem, niemym a przecież czującym wespół z ludźmi, żałobnych korowodów i orszaków weselnych jest prastary, kilkasetletni wiąz, zwany przez ludność białoruską, „gabem", zażywający z dawnych pogańskich czasów czci niemal sakralnej.

I jest coś chyba świętego w olbrzymie krzepkim jeszcze mimo szczerby i rany zadane przez burze i niszczycielskie działanie czasu, skoro nie tylko okoliczna prostota szuka natchnienia i siły w tajemniczym szumie jego liści. On właściwie, podobnie jak święty dąb w życiu Marka Czertwana, staje się centralnym punktem, około którego skupiają się wspólne pragnienia i myśli pary bohaterów niniejszego opowiadania. Dzięki niemu dokonywa się przezwyciężenie złych uroków, mieszających linię losów dwóch starych rodów, gnieżdżących się w cieniu potężnych pokręconych konarów.

Małżeństwo Kala i Hani przekreśla bowiem tragiczną winę, ciążącą nad ich domami wedle słów ustnej tradycji z czasów jeszcze pogańskiej Litwy i pierwotnych w stosunku do przybyszów z Polski nienawiści. „Pan Tracewski", po śmierci za karę w „diabła" drzewnego zamieniony oraz cień jego ofiary, Syruciówny, znagła się nawet w toku opowieści materializujący, — oto romantyczne pogłosy tamtej, przeklętej przeszłości.

Odejdą one w cień wraz ze zmierzchem starego pokolenia, — nowe nie wyrzeknie się tradycji, owszem podeprze chylące się ku ziemi drzewo, ale jednocześnie w wypróchniałem wnętrzu, pamiętającem dawnych, pogańskich bogów, ustawi przydrożnego świątka.

Kontrast dwu pokoleń został tu przez autorkę, jakby w nawiązaniu do szerokich, na tle społecznem konfliktów, jaskrawo uwydatniony.

Potrzebny był nieco w danym wypadku tak silny przeciąg ze względu na pewną jednostajność atmosfery szufladkowych wspomnień, spotęgowaną nie tylko figurą powieściową starej Teresy — piastunki, medjum, na głosy pomarłych jeszcze przed wiekami synów i Tracewskich, ale i szpinetowym akordem romansu — wspomnienia, poprzedzającego właściwą akcję. Pisarka, co charakterystyczne, na przestrzeni całej prawie jej dotychczasowej twórczości, kontynuje tradycje polskiej powieści kobiecej, tak wiele mającej do powiedzenia w przebogatej krainie subtelnych uczuć i dzielności intuicji, krainie rządzącej się specyficzną tegoż sentymentu logiką. Wspomnijmy tylko powieść, która niegdyś stworzyła opokę na tym polu; „Malwinę czyli domyślność Serca".

Artystyczne ilustracje - fotografje dał Jan Bułhak, kolorową okładkę zaprojektował Kazimierz Jodzewicz.

St. J.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

J a n R i a b i n i n: „Materiały do historii miasta Lublina 1317 — 1792" Lublin 1937 stron 209.

Z miast polskich właściwie tylko Kraków ma porządnie opracowaną historię i bogatą literaturę. Wzorem też prawdziwym dla innych miast i regionalizmów winna się stać jego doskonała „Biblioteczka Krakowska" dobiegająca niemal już stu tomów i zawierająca całe bogactwo pamiętników i monografii. Coprawde — powie ktoś, że Kraków jest Krakowem, i że nie każde miasto z nim się może równać, ale jednak są takie, które tego wyścigu mogłyby spróbować.

Należy do nich przedewszystkiem Lublin, przywilejami swemi, nawet z Krakowem przez naszych królów zrównany. No i przyznać trzeba, że do tego wyścigu stanął i dzięki wysiłkom niestrudzonego Riabinina obraz jego przeszłości dosyć wyraźnie się przedstawia, a dalsi jej badacze nie są już narażeni uciążliwe szukanie poomacku.

Świeżo właśnie p. Riabinin zebrał i wydał nakładem zarządu miejskiego w Lublinie (czy inne zarządy miast równie są gorliwe o znajomość historii swych grodów?) tekst 438 znajdujących się w archiwach lubelskich dokumentów, dając jeszcze w dodatku spis nadań cechowych, a we wstępie dokładne rozklasyfikowanie materii i jej dokładne omówienie. Jest to dla historyka nieocenione *vade mecum* tembardziej, że doskonale ułożony indeks nazwisk i przedmiotów łatwo pozwala zorientować się w treści. Życzyćby sobie stanowczo należało, by inne miasta też takie materiały posiadały. No i znajdzie się chyba ktoś, kto wykorzystując tak starannie zebrany i przygotowany budulec dźwignie w końcu z niego jakieś monumentalne „Mieszczaństwo lubelskie" godne pendent do „Mieszczaństwa warszawskiego", Smoleńskiego.

Z SALI ODCZYTOWEJ.

BOROWY O METODACH

W Zrzeszeniu Polonistów zapowiedziano ogólne zebranie odczytowe na dzień 31 października z odczytem prof. R. Ingardena ze Lwowa. Prelegent nie przybył z powodu choroby; zastąpił go uczynnie dr Wacław Borowy i wygłosił znakomitą prelekcję na temat: „Najnowsze metody badań literackich w świetle ostatnich studjów nad Norwidem".

Wykładu Borowego wysłuchało liczne grono polonistów z wielkim zainteresowaniem. Oto w paru słowach streszczenie odczytu.

W literaturze norwidowskiej dziś już, z pewnej perspektywy lat przebytych, wykryć można wyraźnie nurtujące prądy i przebiegające tendencje wewnętrzne, jakie z czasem przybrały charakterystyczne znamiona *sui generis* kierunków w rzeczonej dziedzinie studjów nad zawartością dzieł poety.

Prelegent wstrzymuje się ze względów metodycznych przed wskazywaniem poszczególnych nazwisk i odpowiednich prac, poprzestając na czysto pojęciowym przeglądzie koncepcyj krytycznych.

Tak więc należy się liczyć z istnieniem kierunku, ochrzczonego mianem b i o g r a f i z m u. Przedstawiciele tegoż doszukują się chętnie w utworach Norwida intencjonalnie zamieszczanych szczegółów z jego życia lub rysów psychicznych postaci, — a nawet niekiedy skłonni są widzieć w zmyśleniu poetyckim jedynie refleks rzeczywistych perypetyj losów autora, jego smętnych kolei romansowych, w samej rzeczy tak niewiele mających wspólnego ze zwykłymi w analogicznych wypadkach rozwiązaniami.

I tak... w pracy o niedawno wydanych komedjach Norwida czytamy na marginesie „Pierścienia wielkiej damy" o *Wunschtraum*, śnie 50-letniego poety, mającym za temat dzieje jego przeszłej miłości do p. Marii Kalergis.

Pokrewnym omawianemu pojmowaniu jest t. zw. b i o l o g i z m, upatrujący źródła niektórych cech poezji norwidowskiej w mniej lub więcej wyraźnych przekazach tradycji A więc np. szaradowy charakter poetyckiej aforystyki wyda się nam dostatecznie przyczynowo uzasadniony, skoro sobie uprzytomnimy, że ojciec Norwida t e ż pisał szarady.

Idąc po tej samej linii rozumowania, łączy się osobowość poety z podglebiem mazurskiem oraz z jego rzekomo normandzką parentelą (mocno dziś, jak wiadomo legendarną).

Postępujący po fałszywej drodze i n t e l e k t u a l i z m, stosowany w całej rozciągłości przy badaniu dzieła, doszukiwanie się głównej jego treści wyłącznie w zawartości ideologicznej, przejawia się w ostrej formie w t. zw. a l e g o r y z m i e: alegoryzowaniu utworów, którym nie śniło się nawet zawierać jakiejś myśli — s ł o w a zazdrośnie skrytego w hieroglifach liter.

Taka się już przytem o dumnym samotniku wytworzyła opinia, o jego niezrozumiałości, trudnym do odcyfrowania logogryfie sensu, że nawet w pospolitych drobiazgach w toku poetyckiego przedstawiania świata i dziejących się wydarzeń skwapliwy krytyk-detektyw rad dogrzebuje się do

najgłębszego pokładu znaczeń, pomijając zupełnie naturalną logikę życia i oczywisty porządek jego estetyki. Ileż nałamano sobie np. głów nad niemotą młodej dziewczyny z „Assunthy", starając się do tej wzruszającej, — i zapewne mającej dane po temu, by być szerzej i głębiej niż jednostkowo rozumianą, historii dorobić zawiły zygzak żmudnego Komentarza.

Jaskrawym przykładem szukania niewłaściwych treści w dorobku Norwida jest naginanie go do t. zw. „wychowania państwowego", próba szukania tam swoistego, partyjnego dydaktyzmu, wyznaczonego często z jednego niemal niebacznie wypowiedzianego słówka lub zwrotu. Trudno oczywiście polemizować z tego typu wulgaryzowaniem walk, staczanych w najwyższych regionach duchowego natchnienia.

Inna forma błędnego rozumienia poety to socjologizm, propagowany przez socjalistów (niemiecki krytyk Mehring), szczególnie w Sowietach, usiłujący walki i przełomy w duszy twórcy i w jego dziele wyjaśnić przesłankami społeczno-ekonomicznemi, wybitnie gospodarczemi. Zresztą w obecnej dobie zrodziła się nawet w Sowietach pewna reakcja przeciw tak jednostronnemu tłumaczeniu bogatych i różnorodnych zjawisk literackich.

Oto więc Norwid ma być typowym przedstawicielem „drobnomieszczaństwa". Tak np. w wierszu „Wielkość" głosi hasła pacyfistyczne mieszczaństwa francuskiego z czasów rewolucji lipcowej. Stąd płynie niezrozumienie u współczesnych; przesiąkniętych ideałami ruchu ludowego lub też, jak w zamkniętej koterii krytyków konserwatywnych w kraju, wietrzących u Norwida odmienny, obcy ton klasowy.

Ów „ton drobnomieszczański" ma w dużej mierze zawierać w sobie tajemnicę renesansu i powodzenia zwycięzającego zza grobu poety. Ryzykuje nawet krytyk lokucję, iż „Miriam był tylko wybranym narzędziem w żelaznej konsekwencji praw ekonomicznych", a jego odgrzebanie starych szpargałów z pyłu niepamięci, z bezdennych szuflad „biurka Telimeny" — wyłącznie dziełem przypadku, nie będącym w stanie w niczem odmienić faktu, iż nadszedł czas sprzyjający niepopularnym ongiś ideom „drobnomieszczaństwa".

Najbardziej ciasny ze wszystkich kierunków, formalizm bierze za punkt wyjścia naganę dla dawniejszej i współczesnej krytyki norwidowskiej, za wiele rzekomo miejsca poświęcającej ideologii, zbyt mało—wartościom artystycznym analizowanych utworów. Specjalna trudność nastręcza się wówczas na marginesie „Promethidiona", z uwagi na jego podwójny charakter: dydaktyzm i wysokiej klasy artyzm.

Druga teza formalistów brzmi—o estetycznej wartości utworu decyduje tylko forma „w sensie kształtu z którego treść da się dopiero wyłuskać". Widoczne jest tutaj zacieśnienie treści do samych wyłącznie wątków myślowych, prócz których przecież do tego, co nazywamy treścią w poezji, należą jeszcze: wizja i atmosfera. I próżno przytaczać przykłady jakiejś magii formy, skoro dość łatwo ją zastąpić zupełnie istotną wspólnotą treści wewnętrznych w dziele poety i w psychice odtwórcy.

Gdyż forma jest nierozerwalnie z treścią złączona — tylko ze względów dydaktycznych stosuje się owo przeciwstawne rozdzielanie dwóch w gruncie jednorodnych składników danej całości.

Wystrzegać się należy, aby dydaktyzm nie wyrodził się w martwy schematyzm. Schemat — czy to intelektualny czy formalny—niezbyt będzie pomocny przy wyznaczaniu skali wartości, jednego z podstawowych zadań literatury pięknej. Ta wiedza formalna nie zastąpi intuicji i samoistnej myśli krytycznej, tak ważnej przy ustalaniu miejsc w hierarchii świata wartości.

I dlatego u źródła krytyki literackiej leży odczucie intuicyjne, niezbędne przy odkrywaniu kategoryj świata wewnętrznego.

ST. J.

ZE ŚWIATA SZTUKI

WIZERUNKI SŁAWNYCH POLAKÓW

Wśród wystaw ostatnich, sale IPsu goszczą między innymi, artystów wileńskich, ze Ślendzińskim na czele i Czermańskiego. Czermański wystawił cykl rysunków piórkiem, p.t. „Wizerunki Sławnych Polaków", zamówiony przez jedną z firm wydawniczych. Jest ich 81, a ma być podobno sto. Wymiary mają spore, przy reprodukowaniu ulegną napewno zmniejszeniu, co im wyjdzie na dobre.

Wizerunek sławnego męża to dla plastyka zagadnienie bardzo ciekawe, nieraz już o tem pisałem, chociażby z racji konkursów na pomnik Piłsudskiego. Więc i teraz radbym przy niem zatrzymać się dłużej, bo wygląda tu ono inaczej: nie chodzi tymczasem o monumentalny pomnik, a portret rysunkowy w tece. Charakter oficjalny dzieła zostaje w tym wypadku zatracony, na rzecz niejakiej intymności; dzieło sztuki nie przemawia już do wszystkich, tylko do tych, co się doń sami zbliżą. Można ukazać to, co ludzkie, arcyludzkie, w sławnym człowieku, a więc nam bliższe, bo nie na koturnach stojące. Patos należy bezwzględnie pozostawić za drzwiami, ale nic więcej. Tymbardziej, że takie wydawnictwo może trafić do szkół, gdyż podobnych nie ma u nas za wiele, a już istniejące są bardzo nie ciekawe.

Może właśnie banalne i starannie „wykańczane" podobizny, w dotychczasowych tekach, skłoniły Czermańskiego do wyboru formy szkicowej; mówiąc tak, mam na myśli sposób ujęcia, a nie pobieżność rysunku. Artysta dał podobizny królów, bohaterów, wodzów, mężów stanu, polityków, uczonych; pisarzy i artystów. Wobec pokaźnej liczby portretów zrozumiałe jest, że i skala popularności portretowanych przedstawia się również rozległe. Obok Batorego mamy tu przecież Kolberga, Franciszek Smolka sąsiaduje z Kościuszką, są: Bolesław Prus i Karol Olszewski, Maciej Gomółka i Bogumił Linde, Curie-Skłodowska i Alojzy Żółkowski, Piotr Wysocki i Oswald Balcer, Adam Mickiewicz i Piotr Tomicki, Stanisław Wyspiański i Aleksander Wielopolski.

Jak widzimy rozpiętość olbrzymia. Zwracam na to specjalną uwagę, gdyż przekonamy się zaraz o znaczeniu popularności w koncepcji portretu sławnego człowieka. W wizerunku zwykłego śmiertelnika podobieństwo nie odgrywa najważniejszej roli. Nie ma możności, ani potrzeby sprawdzać, czy np. znajdujące się w naszym muzeum portrety mieszczan warszawskich, lub dam z XVIII-go wieku są podobne. Cenimy je, jeśli są dziełami sztuki i gdy utalentowany artysta utrwalił w podobiźnie twarz żywą, pełną charakteru i wyrazu, wierzymy pozatem, że portret był podobny. Inaczej zupełnie ma się rzecz z portretami sławnych ludzi. Przede wszystkim o ich wyglądzie świadczą często liczne, za życia jeszcze wykonane portrety i jeśli są znane i popularne, portrecista późniejszy nie może się z nimi nie liczyć (każdy chce wiedzieć, jak naprawdę wyglądał Mickiewicz). W innym wypadku, gdy materiał ikonograficzny nie istnieje i niewiadomo jak właściwie wielki człowiek wyglądał, istnieje jednak jego podobizna duchowa, zawarta w dziełach, lub czynach, których dokonał. Na jej podstawie urabiamy sobie podobiznę plastyczną, bardziej ceniąc jej prawdę od prawdy naturalistycznej. Bywa też tak, że istniejące,

wiarygodne, portrety treścią swą przeczą naszemu wyobrażeniu i wówczas mamy przykład wielkiej duszy w mizernem ciele (Kościuszko). Artysta musi wtenczas lawirować między jednym i drugim, by prawdzie dokumentu zbytniego kłamu nie zadawać, a jednocześnie dać świadectwo wielkości.

Popularność postaci i jej podobizn nie zawsze jest taka sama: każdy wie kto był Kiliński, a prawie nikt, jak wyglądał. W takim wypadku artysta może łgać na potęgę, byle tylko artystycznie. Im znakomitszą osobę plastyk ma wyobrazić, im więcej jej portretów już istnieje, tem trudniejsze jest jego zadanie. Wystarczy nam, gdy na portrecie Kolberga zabaczymy żywego człowieka, lecz Mickiewicza chcemy widzieć nie tylko żywego, ale i wielkiego. Najtrudniej znaleźć odpowiednik plastyczny genjuszu.

Pragnąc ocenić właściwie trud Czermańskiego i rezultat tego trudu, trzeba o tem pamiętać. Od artysty wiem, że poddał swe rysunki pewnej próbie. Mianowicie pokazał łe znajomemu cudzoziemcowi, by ten, wolny od wszelkich sugestyj, nie wiedząc nic o tem, kogo te portrety wyobrażają, mógł wydać najczystszy sąd o ich wartości artystycznej. Zdaje się, tego rodzaju opinję najbardziej sobie artysta cenił i nie miał w tem pełnej racji, bo rysując, na szczęście, sam takiej zasadzie skrewił. Nie dbając tylko o smaczny rysunek (i słusznie), w pozie i ruchu głowy Piotra Wysockiego pragnie ujawnić znamiona młodego herosa. Wązka, ku dołowi, jak klinga i przesadzona w charakterze twarz Żółkiewskiego, cóż ma wyrażać, jak nie wolę żelazną wodza? Skupienie i zwartość głowy Curie-Skłodowskiej dobrze odpowiada temu, co wiemy o uczonej. Nie wszystkie głowy są jednako dobre i utrafione, czemu się nie można zresztą dziwić, zważywszy rozpiętość zadania i już przytoczone przezemnie racje. Całość, za wyjątkiem paru portretów, między innymi najlepszego Grottgera, raczej interesuje, niż zadawala.

Przy rysowaniu posłużył się artysta pewnym smaczkiem rysunkowym, bardzo frymuśnym, zanadto jednak opartym na przelotnej modzie. Zachowując podobny styl rysunkowy, stara się jednocześnie Czermański za każdym razem ten sam kształt, na oko, inaczej rozwiązać. Pod tym względem ambicje artysty są godne pochwały i świadczą o jego zawsze żywym stosunku do rzeczywistości widzialnej.

WIKTOR PODOSKI

Z TEATRU

„SKIZ“ ZAPOLSKIEJ

CZY TO obecny upadek literatury, czy systematyczne odzwyczajanie nas przez teatry stołeczne od polskiego repertuaru, dość że doznajemy olśnienia wybrawszy się bez zbytniego przekonania na sztukę Zapolskiej do teatru Nowego. Bez przekonania, bo to nazwisko autorki kojarzy się z tą epoką, która już nie nowoczesna, jeszcze się nie oddaliła dostatecznie, aby być stylową, aby być przyjmowaną jako historyczna. Zapolska, Przybyszewski... dla współczesnego młodszego bywalca kin z sentymentalno-realistycznymi powiastkami, bynajmniej nie przeintelektualizowanego czytelnika gazet i przekładów (tych lżejszych) angielskiej literatury, nazwiska te kojarzą się z czymś niezrozumiałym i dziwacznym. Sprawy seksualne dziś traktuje się cynicznie i brutalnie, społecznie, lub nie traktuje się wcale Niedomówienia, koronki, reweranse, karnawały, całe misterne skomplikowanie amorów z szansonistkami i wdówkami— wszystko to wydaje się dziś trochę śmieszne, trochę wulgarne. A patetyczność języka tych ludzi pełnych kompleksów, a nie wiedzących co to kompleks...

I nagle, jak powiedziałem, olśnienie. Jakto—więc my mamy pisarkę, o tak kapitalnej technice komediowej, o takiej finezji dialogu, takim bogactwie i wyrazistości rysunku psychologicznego i posiadając ją gramy Caillaveta i de Flersa? Dlaczegóż wcześniej nie wydobyto „Skiza” z pomiędzy pożółkłych skryptów z przed dwudziestu pięciu lat zamiast bawić się w jałowe bulwarowe sztuczki paryskie w rodzaju „Trzech asów i jednej damy”?

Prawda, że od czasu do czasu coś nas tu uderzy dziwactwem, czy gdy usłyszymy z ust kochanka „czar stepu i zawrotną woń ziół”, czy gdy na tle nowoczesnych strojów i dekoracyj ukaże się osypana z pudru i wywietrzona z buduarowych perfum wizja robaka przylepionego w tym ujęciu właściwie ni w pięć ni w dziewięć. Razi nas brutalnością typ owej kobiety przyznającej się do świadomego wydobywania resztek potencji męża za pomocą podsuwanych mu beznadziejnych flirtów z ładnymi gąskami bez temperamentu, razi nas hymn na cześć małżeńskiego przyzwyczajenia, które tu jest owym zwycięskim „skizem” — asem atutowym w taroku miłości; jakby hymn na cześć wydeptanych pantofli czy czegoś równie prostacko nieestetycznego.

Ale przy tych naturalistycznych motywach szczególnym kontrastem brzmią tony sentymentalno-naiwne: cyniczna żona zgrywa się tylko na cynizm, jak się okazuje ratując tym swą godność, gdy mówi: „ja sama podsunęłam mu ten flirt”, wiedząc dobrze, że inaczej musiałaby mówić: „zdradza mnie, a ja jestem bezsilna”. I gdy po perypetiach gry miłosnej, z takim psychologicznym znawstwem i z taką wyrafinowaną subtelnością ukazanej, para sielskich kochanków, obejmując się w *happy-endzie*, szepcze o „złym wichrze”, który przeleciał przez ich — oczywiście — „sadybę”, czujemy w tym pewną nienaturalność. Boć przecież taka znawczyni duszy ludzkiej jak autorka całych trzech aktów „Skiza” musiała dobrze rozumieć, że ów zły wiatr był bardzo pomyślnym wiatrem pchającym nawę miłości Witusiów ku spokojnym wodom harmonii małżeńskiej. Lula i Tolo zrobili swoje i odeszli złamani, przez uświadomienie sobie swojej nędzy, a młodość pozostała triumfująca, dojrzała przez zapłodnienie doświadczeniem starości.

Nie wiem kto wpadł na pomysł wznowienia „Skiza”— jemu bowiem pierwszemu należy się poklask. Drugi poklask należy się bezsprzecznie Ćwiklińskiej. Ta najlepsza polska aktorka komediowa dała tu rolę bogatą w ekspresję ale i pogłębioną, chwilami wręcz skupioną. Ćwiklińska należy do tych, których wdzięk naturalny nie zdemoralizował i choć mogłaby spokojnie na nim wygrywać, nie troszcząc się o resztę, dodaje do niego poważny wysiłek, który daje tak świetne rezultaty.

Niezwykle szczęśliwym pomysłem było powierzenie roli Witusia Wesołowskiemu, idące wbrew przyjętemu zwyczajowi rutynizowania aktorów przez zmuszanie ich do powtarzania ciągle tych samych typów. Słychać było głosy zdziwienia, dla czego nie wzięto Hnydzińskiego, co znaczy, że Hnydziński jest specem do takich ról i dałby nam jeszcze jedną z powielonych odbitek, zamiast bardzo ciekawie i trafnie pojętej koncepcji Wesołowskiego, który też przez to odświeżył swój talent, zapomniawszy raz o płaczliwych cudusiach. Różycki zato sunął gładko po swoich szynach, uwodząc starymi *trickami* eteryczną Świerczewską. Zelwerowicz w reżyserii dobrze pogodził naturalizm pierwszego dziesiątka naszego stulecia z realizmem czwartego dziesiątka, wydobywszy niezależny od epoki styl Zapolskiej—artystki na tle banałku Jarockiego. Jarockiego nazwałem kiedyś Kraszewskim dekoracji teatralnej, co niniejszym odwołuję uroczyście: to nie Kraszewski, to Mniszchówna.

A. M.

POKŁOSIE

NA MARGINESIE OPISÓW C. O. P.

W KOŃCU ubiegłego miesiąca ministerstwo skarbu urządziło objazd terenów powstającego według znanych planów nowego „Centralnego Okręgu Przemysłowego" (punk środkowy Sandomierz) i na ten objazd zaprosiło również niektóre dzienniki. Wskutek tego w części prasy rozbiła się, jak to mówią, bania z opisami tego nowego okręgu, utrzymanymi przeważnie, co jest zresztą zrozumiałe, w tonie entuzjastycznym. Entuzjazm wywołany z jednej strony rozmiarami poczynań wprowadzanych już w czyn, z drugiej zaś, jak to słusznie napisał jeden ze sprawozdawców, utęsknieniem z jakim oczekuje się u nas wyjścia z dławiącego marazmu.

Wrażenie z tych opisów należy uzupełnić kilkoma uwagami.

Więc najpierw nowy ten ruch w kierunku uprzemysłowienia kraju nie powstał z samorzutnej ekspansji dotychczasowych ośrodków przemysłu, lecz został planowo opracowany i zainicjowany zgóry i ma służyć zarówno wzmożeniu naszego, jak się teraz powszechnie mówi, potencjału obronnego, jakoteż stać się impulsem, który ma wywołać samodzielny już pęd społeczeństwa ku odrodzeniu gospodarczemu. Mamy więc początek, wywołany świadomą wolą, popartą skierowaniem bardzo znacznych pieniędzy publicznych, pochodzących między innymi również z pożyczki zagranicznej. Jasne jest, że jeżeli ten początek ma pociągnąć za sobą pomyślny dalszy ciąg, to muszą powstać warunki, wyzwalające energię społeczeństwa i dające możność jej zastosowania. Tak problem ekonomiczny wiąże się z politycznym i tej zależności uniknąć się nie da.

Można w samych opisach znaleźć dowód na to zresztą oczywiste twierdzenie, Analogię, wprawdzie nie zupełnie ścisłą, ale dość trafiającą do przekonania. Mamy ją w historii znalezienia nowych złóż rudy żelaznej. Dyrektor olbrzymiego przedsiębiorstwa hutniczego opowiedział z pewnym jakby zażenowaniem, że przy poszukiwaniu rudy uciekł się do bardzo „prymitywnego" środka: mianowicie odwołał się do ludności, wydał i rozplakatował odezwę i obiecał nagrodę za naprowadzenie na ślad rudy. Środek taki istotnie może się wydać człowiekowi, myślącemu kategoriami „ścisłymi", prymitywnym, jest jednak w rzeczywistości bardzo racjonalny. Tysiące włościan, znających dobrze swą glebę i trafiające się na niej dziwne kamienie, szybciej i taniej może naprowadzić na szukany ślad, niż uczona ekspedycja geologiczna, która idąc za ogólnikowymi z natury rzeczy wskazówkami nauki, poszukuje w dużym terenie jakby naoślep, Tak się też stało w danym wypadku i faktycznym odkrywcą złoża rudy, zapowiadającego się bardzo pokaźnie, stał się Walenty Boroń, gospodarz na kilku morgach.

Odwołanie się do społeczeństwa jedynie dać może analogiczny wynik na szerszym terenie, a bez wyzwolenia energii społecznej najsilniejsze impulsy staną się tym, co się w mechanice nazywa falą hamowaną lub dławioną i rozproszą się bez trwałego skutku.

Pisze się też wiele o zwróceniu się do nowych, niezużytkowywanych dotychczas dostatecznie źródeł energii, do sił wodnych, do gazu ziemnego, mówiono nawet tu i owdzie o „zdetronizowaniu" węgla, zalegającego u nas, jak wiadomo, niewygodnie, bo bardzo blisko granicy. Jednak bardzo nawet pobieżne obliczenia nakazują ostrożność pod względem owej detronizacji.

Siły wodne, o których się pisze w związku z nowym okręgiem przemysłowym, nie są znów zbyt olbrzymie, przeciwnie wyglądają skromnie i mogą zastąpić spalanie około 300 tysięcy ton węgla rocznie, a więc drobną część tego, co otrzymujemy w węglu. Zapasy gazu ziemnego, znane dotychczas, stanowią równoważnik 20 milionów ton węgla, a więc są znacznie mniejsze, niż roczna produkcja naszych zagłębi. Zarówno siły wodne, jak i gaz są bardzo cennym zasobem i mogą przynieść gospodarstwu narodowemu wielki pożytek, ale obok węgla, zastąpić go zaś nie są w stanie. Stąd wniosek, że bez węgla się obyć nie możemy, że musimy go bronić ze wszystkich sił, mimo że leży tak niewygodnie, na granicy.

A więc sprawa zahacza znów o dobrą politykę. Jednym słowem, z którejkolwiek strony zaczniemy rozważać problem odrodzenia i prosperowania kraju, zawsze znajdziemy na dnie, u korzenia kwestię dobrej polityki.

Bez dobrej polityki nie ma dobrego gospodarstwa. Nie wszyscy jednak sobie to uświadamiają i oddają się złudzeniu, jakoby jedno od drugiego dało się oddzielić.

ARGUS

NA MARGINESIE

W bardzo interesującej rozprawie Stanisława Łosia („Przegląd Współczesny", listopad) p. t. „Hellada na przełomie", znajdujemy nader przekonywający wywód, dlaczego Spartanie nie podołali zadaniu zjednoczenia narodowego Hellady i sami zczeźli.

Oto parę zdań zakreślonych na marginesie:

„Państwo było własnością garnizonu, było rządzone przez garnizon i na jego rzecz. Ludność tubylcza i napływowa nie przestała do końca dziejów spartańskich uważać Spartan za okupantów...

Rządy garnizonu muszą się zawsze skończyć i dla okupowanych i dla okupantów fatalnie—wszystko jedno czy garnizon okupuje kraj cudzy, czy własny" (S. 45).

*

— Jak szybko teraz dzieci uczą się mówić. Dawniej język dziecięcy był taki luby: ma — ma, pa — pu, ę — ę. A teraz z taką łatwością wymawiają twarde słowa: przełom, zwrot, brzask, wstrząs, wzryw, re — wo — lucja,

— No tak. Ale zważ, że teraz wychowanie jest państwowe, — musi być jakaś odnowa, jakaś naprawa, jakiś zaczyn.

*

Powiadają, że wkrótce ma się ukazać program nowego stronnictwa, na którego czele stanie Kiepura. Powodzenie zapewnione.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.